Everett B. Cole

Budzik

(Alarm Clock)

Astounding/Analog Science Fact & Fiction, September 1960
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Minęło już wiele lat od czasu gdy polne kamienie zostały pokruszone, pocięte i ułożone jako nawierzchnia dziedzińca więzienia Opertal. I przez te wszystkie lata, kamienie stopniowo ulegały erozji, w miarę jak niezliczone setki stóp, ścierały i deptały ich niegdyś ostre krawędzie, wygładzając niewielkie odłamki skalne, polerując ich powierzchnię, tak że dzisiaj promienie zachodzącego słońca odbijały się od nich jak od glazurowanej mozaiki.

Kiedy Stan Graham pokonał rozległą przestrzeń, od budynku biblioteki do bloku w którym znajdowały się cele, podeszwy jego butów wniosły kolejny niewielki wkład, do doskonałości przez lata nadawanego kamieniom połysku.

Uniósł wzrok i popatrzył na wyrastający przed nim budynek, jakby po raz pierwszy zauważając jego chropowate, zwietrzałe kamienne ściany. Surowe, pionowe linie bloku przypominały mu gmach Kendall Hall w Akademii Straży Kosmicznej. Uśmiechnął się kwaśno.

Istniały jednak, jak sobie w duchu powiedział, pewne różnice. Ludzi rzadko wyrzucano stąd wbrew ich życzeniom. Nikt nie przybywał tu z własnej woli. Bardzo niewielu miało ochotę tu zostać. Natomiast, jeśli chodzi o Akademię…

Co właściwie, zastanawiał się, czuli ci wszyscy inni goście, których kiedyś stamtąd wylano? Żaden z nich się nie skarżył – ani w ogóle zbyt wiele nie mówił. Po prostu pakowali swoje manatki i odbierali bilety do domu. Na niczyjej innej twarzy, nie było widać wyrazu sfrustrowanej wściekłości, choćby w przybliżeniu tak intensywnej jak u niego. Być może było z nim coś nie tak – jakiś niezidentyfikowany błąd, który wytrącił go z jednej fazy ze wszystkimi innymi.

Nie podobało mu się to, zupełnie.

Powrócił myślami do swojej ostatecznej rozmowy z majorem Michaelsem. Oficer wysłuchał go, a następnie zdecydowanie pokręcił głową.

— Niech pan posłucha, Graham, powtórka egzaminu i tak się nie uda. Po prostu nie możemy pana zatrzymać.

— Ale, jestem pewien…

— Nie, to nic nie pomoże. Pańskie wyniki w nauce nie są najlepsze we wszystkich dziedzinach, a Grawityka jest jednym z najważniejszych przedmiotów w programie naszych studiów.

— Ale nie rozumiem, panie majorze, jak mogłem to zawalić. Miałem dobre oceny na egzaminach końcowych.

— To prawda, ale przedtem było jeszcze kilka innych wpadek. A do tego pańskie oceny bieżące. — Michaels rzucił okiem na leżące na jego biurku papiery. — Nie potrafię powiedzieć, co poszło nie tak, ale coś się z panem stało już dawno temu, na początku. Potem sprawy szły już tylko coraz gorzej, aż w końcu wypadł pan z harmonogramu. Wie pan przecież,

że mamy tutaj sporą konkurencję, i pewnie tracimy czasami jakichś wartościowych ludzi, ale tak to już jest.

— Panie majorze, jestem pewien, że umiem…

— Nie wystarczy tak po prostu umieć. Musi pan umieć lepiej, niż wielu innych ludzi.

Michael wstał i obszedł biurko dookoła.

— Niech pan posłucha, to żadna hańba wylecieć stąd z powodu słabych wyników w nauce. Musiał pan być sporo powyżej średniej, żeby tu się w ogóle dostać.

Kiedy Stan próbował coś powiedzieć, uniósł rękę.

— Wiem. Myśli pan, że to wygląda, jakby pan się w jakiś sposób załamał. To nieprawda. Od dnia, kiedy pan tutaj przybył, wszyscy szukali u pana słabych punktów. Gdyby pojawiła się jakakolwiek skaza, z pewnością by ją znaleźli – i naciskaliby na pana do czasu aż się pan załamie – albo skaza zniknie. Tracimy ludzi również w ten sposób.

Wzruszył ramionami.

— Ale pan się nie załamał. Po prostu poległ pan na jakiejś dosyć trudnej teorii. Z tego powodu, nie musi się pan czuć od nikogo gorszy.

Stan popatrzył na znajdujące się przed nim potężnie okratowane drzwi.

— Nie — powiedział sam do siebie. — Nie uważam, żebym był jakimś zakichanym pępkiem galaktyki, ale nie jestem również bezużytecznym nieudacznikiem. Jestem po prostu chłopakiem, któremu nie tylko nie udało się zdobyć czegoś w życiu, ale również nie zdołał dotrzeć do domu bez popadnięcia w kłopoty.

Pchnął drzwi i wszedł do budynku, zatrzymując się na chwilę pomiędzy dwoma słupkami monitorującymi. Nie rozległo się ostrzegawcze brzęczenie, więc ruszył dalej korytarzem.

Niemal zupełnie nie zwracał uwagi na otoczenie. Kiedyś, gdy po raz pierwszy go tędy prowadzono, z fascynacją i grozą przyglądał się kamiennym ścianom, małym, zakratowanym okienkom, metalowym drzwiom. Ale te uczucia rozmyły się. Obecnie, był to dla niego już tylko przygnębiająco znajomy, swojski widok.

Zatrzymał się przy ciężkiej, metalowej kracie i podał przez jej pręty przepustkę. Znudzony strażnik odwrócił się, wrzucił papier do szczeliny czytnika, a następnie rzucił okiem na ekran wyświetlacza. Skinął głową.

— W porządku, czterdzieści-dwa dziewięćdziesiąt. Jesteś o czasie. Wracaj do swojej celi. — Uderzył w przycisk i brama odsunęła się na bok.

Idąc, Stan prześlizgiwał się wzrokiem po frontach cel. Ludzie w nich zajmowali się swoimi sprawami. Kilku z nich, kiedy przechodził, obrzuciło go przelotnym spojrzeniem, a następnie umykali wzrokiem gdzie indziej. Stan na chwilę zamknął oczy.

To akurat się nie zmieniło. W szkole nigdy nie dołączył do żadnej grupy kadetów. Początkowo był akceptowany, później chłodno tolerowany, a jeszcze później odsunięty na kompletne obrzeża.

Och, oczywiście, miał swoich przyjaciół. Byli nimi inni dziwacy, tacy jak Winton i Morgan. Ale oni odeszli. Z tego czy z innego powodu, większość z nich spakowała się i odeszła, na długo przed jego ostatnią rozmową w biurze uczelni.

No i był jeszcze major Michaels. Przez pewien czas oficer był sympatyczny – przyjacielski. Stan przypominał sobie miłe rozmowy – spokojne godziny, spędzone w wygodnej kwaterze majora. Wspominał również przyjęcia, z jakimiś całkiem eleganckimi ludźmi wokół siebie.

Potem starszy mężczyzna zaczął stawać się coraz bardziej obcy. Stan nie potrafił nawet powiedzieć, z jakiego powodu. Może spowodowane to było pogorszeniem się jego wyników w nauce. Może zrobił coś, co go odstręczyło. Może…

Otrząsnął się z tych myśli, podszedł do drzwi celi i stał, czekając aż strażnik naciśnie przycisk, który je otwierał.

Stan rzucił przyniesione książki na pryczę. Jak Holme uniósł wzrok i popatrzył na niego z drugiego końca celi.

— Kolejne książki?

— Taaa — przytaknął Stan. — Ciągle próbuję dowiedzieć się czegoś więcej na temat tej planety.

— Co, kiedy stąd wyjdziesz, masz zamiar zostać jakimś wielkim politykiem? — parsknął Holme. — To powiem ci, że lepiej byłoby, gdybyś spróbował wmieszać się w ludzi, zamiast rozstawiać ich po kątach przy pomocy fantastycznych gadek, kazać im skakać, to tu, to tam. Jeśli spróbujesz pójść z nimi ramię w ramię, to zobaczysz. Oni powiedzą ci wszystko, czego będziesz potrzebował. Popracuj też odrobinę z niektórymi z nich, pamiętaj.

— Och, wcale nie próbuję nikogo rozstawiać po kątach. — Stan przysiadł na swojej pryczy. — Ale odrobina nauki nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

— Taaa, pewnie — wykrzywił się Holme. — Strasznie dużo też ci da. Facetowi pracującemu przy jakiejś taśmie produkcyjnej, bardzo się przyda, jeśli będzie wiedział dlaczego ci wszyscy wielcy goście, z książek do historii, robili to co robili, co?

Zaśmiał się kpiąco.

— Przyda się jak cholera! Przecież wszystko, czego będą od ciebie chcieli, to żebyś dopilnował by twój fabrykator wypluwał z siebie kolejne fajne towary, rozumiesz?

Wypiął pierś.

— Popatrz na mnie. Ja potrafię dopilnować swoich spraw, rozumiesz? Kiedy stąd wyjdę, powinienem całkiem nieźle dać sobie radę, rozumiesz?

Popatrzył dumnym wzrokiem po celi.

— Nie poszedłem na zwolnienie warunkowego, a więc wykorzystałem cały ten czas na naukę. Teraz jestem prawdziwym, dobrze wyszkolonym mechanikiem, i wyjdę stąd zupełnie czysty. Dostanę robotę w stoczniach kosmicznych.

Skinął głową.
— Zostanę pomocnikiem mechanika, rozumiesz? Potem, kiedy trochę już tam popracuję, wezmę swoje papiery i stanę się kontraktowym mechanikiem. Naprawdę dobra forsa. Może lepiej będzie, jeśli spróbujesz czegoś takiego.

Z dolnej pryczy doleciał delikatny śmieszek Wielkiego Carla Marlo.
— Pewnie, mały, pewnie. Już to sobie wszystko poukładałeś, co? Parę latek i Janzel Equipment będzie twoje, co? Ha, ha. Wiesz co się stanie, kiedy stąd wyjdziesz?
Zawiesił na chwilę głos.
— Jasne, dadzą ci robotę. Tak jak sam powiedziałeś – pomocnika. Zapłacą ci akurat tyle, żebyś znalazł sobie wyrko i jakąś breję do żarcia, tak byś mógł przeżyć, kumasz. I to wszystko.
— Hej, posłuchaj no mnie! — zaperzył się Holme.
Marlo pokręcił głową.
— Weźmiesz swoje papiery, mówisz? Jeszcze czego! Nie ma papierów dla więziennych ptaszków, kumasz. Brygadzista weźmie cię na słowo. A kiedy już skończy rozstawiać cię po kątach, wrócisz tutaj, bo nic więcej nie umiesz, kumasz.
Zaśmiał się krótko.
— Będziesz chłopcem na posyłki. Biegnij z tym, biegnij z tamtym. Zarobisz na wyrko i breję do żarcia, kumasz.
Wyskoczył ze swojej pryczy.
— Och, pewnie, może dadzą cię na fabrykator. Może nawet pozwolą ci się nim zajmować. Ale to ci nie da żadnych dodatkowych punktów.
Holme pokręcił głową.
— Mój obrońca mi powiedział — oznajmił z uporem. — Potrzebują dobrych mechaników.
— Taaa — skinął głową Marlo. — Pewnie, że tam w Talburgu potrzebują takich którzy wyszli z pudła. Ale nie będą im płacić jak kontraktowym mechanikom, skoro mogą mieć ich jako pomocników, kumasz.
Odwrócił się.
— Co, nie mam racji, Pete?
Pete Karzer uniósł wzrok znad torby, którą właśnie pakował.
— Tak, tak, to prawda, Carl. Znałem kiedyś paru gości, którzy próbowali grać zgodnie z prawem. Wykopywali ich z miejsca na miejsce. Niska płaca. Brygadzista jeździł po nich przez cały czas. A już najlepszy dowcip, to był kiedy próbowali wywalczyć coś więcej dla siebie.
Westchnął.
— Taaa, niezły dowcip. Oskarżano ich, że coś uszkodzili, tak więc są winni firmie mnóstwo pieniędzy.
Popatrzył krytycznym wzrokiem na parę skarpetek.
— Od razu po tym mądrzeli. Kładli uszy po sobie i wracali do ostrej walki o przeżycie. Lepiej zrób tak samo.

Po chwili dodał:

— Posłuchaj, wcisnęli ci stek bredni, że zaczniesz wychodzić do pracy na zewnątrz, a jeśli będziesz ciężko pracował, mył codziennie ząbki, to wyjdziesz na warunkowe i zaczniesz robić kasę. To bajka dla szczeniaków, i tyle. Lepiej pomyśl nad czymś innym.

Marlo podszedł bliżej do Holme'a.

— Powiedzmy, że wychodzisz czysty, tak jak powiedziałeś. Wtedy twoja gra jest prosta, kumasz. Robisz jakiś dobry numer, a potem chwilowo przycichasz. Nie nadużywaj swojego szczęścia. Widzisz, to właśnie tak mnie przyhaczyli. Byłem za bardzo pazerny. Dostałem niezły cynk, wyglądało to tak dobrze, miało zająć zaledwie parę sekund, ale oni czekali na mnie. Nigdy więcej już nie zrobię takiej głupoty, kumasz.

Pokręcił przecząco głową.

— Mam niezłą metę, kawałek, w górę doliny. Tam się przytaję, kumasz. Wyjdę, złapię jakąś dobrą robotę, a potem poczekam sobie może z rok, i pomyślę o czymś nowym. Wtedy, kiedy będę już w pełni gotowy, wymknę się stamtąd, rozpruję jakąś puszkę lub dwie i wszystko, co w nich znajdę, zamelinuję na swojej mecie. Nie będzie żadnej szarpaniny, szybkie uderzenie, a potem pryskam, żeby zaraz pozbyć się łupów, tak więc nie ma mowy bym wpadł w jakąś pułapkę, kumasz.

Popatrzył namysłem na Holme'a.

— Tak mi właśnie coś przyszło do głowy, mały. Mógłbyś się nieźle urządzić, i to bardzo prosto. Niewielkim kosztem, bez specjalnych kombinacji, no i ryzyko nie jest za duże, kumasz. Harujesz już od roku, ucząc się wszystkiego o narzędziach, co? Uczą cię jak robić narzędzia, co?

— Pewnie. — Holme roześmiał się krótko. — Każdy musi zrobić sobie własny zestaw narzędzi ręcznych, zanim zostanie przepuszczony. Dlaczego pytasz?

Marlo wyszczerzył zęby od ucha do ucha.

— Mogę ci powiedzieć, że mnóstwo gości naprawdę potrzebuje pewnych specjalnych narzędzi. Potrzebują takich, jakich nie da się kupić w sklepie, jak na przykład dobry otwieracz do puszek, który łatwo dałoby się przenosić, kumasz. I potrafią nieźle zapłacić, żeby ktoś zrobił im to czego potrzebują i potem trzymał gębę na kłódkę.

Potarł się palcem po podbródku.

— Świetne — mówił dalej. — Naprawdę świetne, kumasz. Wszystko, czego byś potrzebował, to najwyżej paru narzędzi, które można kupić gdziekolwiek. I może musiałbyś zbudować niewielką kuźnię. Gość, który wiedziałby jak się koło tego zakrzątnąć, mógłby się w ten sposób nieźle obłowić, kumasz.

Stan popatrzył na mężczyznę z zamyśleniem.

— Brzmi interesująco — wtrącił się, — ale co się stanie jeśli znajdą naszego mechanika fabrykatorów siedzącego gdzieś w lesie, zajmującego się kuciem metalu, zamiast normalną pracą? Jak myślisz, nie zaczną wokół tego węszyć? Szczególnie, jeśli ten gość, o którym mówiłeś, byłby już wcześniej w kartotekach.

— Nie. — Marlo zwrócił się do niego. — A więc, siedział w mamrze – a kto nie? Posłuchaj, powiedzmy, że przyglądają się naszemu gościowi.

Uważają, że powinien zostać robotnikiem w fabryce. Tyle, że być może on nie lubi stukać w klawisze, kumasz. Może nie lubi gapić się w mierniki, kumasz? Może raczej woli używać swoich mięśni, kumasz?

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Facet osiedla się w chałupie w górze doliny. Zaczyna naprawiać szopę. Wszystko wygląda naprawdę w porządku. Nawet używając tylko prostych narzędzi, może wykonywać zlecone prace szybciej, niż trwałoby sprowadzenie nowych części z odległego Talburga, kumasz.

— No i oczywiście, spotyka się z joes. Oni też mają swoje własne kłopoty z dostawami rzeczy, które są im potrzebne. A więc, nasz gość podaje im rękę. Nawet pracując jak najtaniej, tutaj również może podłapać trochę drobnych. Tak więc w ten czy w inny sposób, nasz facet zarobi jakoś na życie, kumasz?

Popatrzył ponownie na Holme'a.

— Tylko od czasu do czasu, u jego tylnych drzwi, pojawia się paru chłopców, potrzebujących specjalnych usług, za naprawdę specjalną stawkę. I to jest śmietanka, którą zbiera nasz facet. I może małe zaskórniaki na przyszłość, kumasz.

— No, nie wiem — Stan wziął swoją książkę. — Wolałbym jeszcze nad tym pomyśleć i wrócić do tego później. To się może skończyć złapaniem i ponownym wylądowaniem tutaj.

Wielki Carl wzruszył ramionami i wycofał się tyłem na swoją pryczę.

— Eee, to może przytrafić się każdemu, kumasz — odparł. — Po prostu przemyśl to sobie jeszcze. Takie sprytne chłopaki jak ty, mogą się nieźle urządzić, tylko dzięki temu, że będą używać głowy, kumasz. Ale to również nie ma nic wspólnego z tym pomysłem z Talburgiem.

Ziewnął.

— No dobra, już wiem jak to zrobię. Wejdę w to z którymś z tej całej gromady Wanzorów, kumasz. Podsunąć któremuś z nich joes pod nos, a podskoczy na trzy metry do góry.

Ziewnął ponownie i odwrócił się do ściany.

Stan przerzucał kolejne strony książki. Ciągle nie potrafił wskazać palcem punktu, w którym Kellonia przestała być planetą wolnych obywateli a stała się planetarnym więzieniem, w którym się znalazł.

Nie było żadnej nagłej przemiany – żadnego dramatycznego incydentu, takiego jak gorące chwile w historii jego ojczystej Khloris. Tutaj, sprawy po prostu podryfowały z wolna od wolności do służebności, a ludzie rezygnowali ze swych praw jak ze znoszonych łachów.

Uniósł głowę i opuścił książkę. Planeta Kella, jak sobie przypominał, była jedną z pierwszych kolonii gwiezdnych utworzonych po odkryciu napędu międzygwiezdnego. Osadnicy walili drzwiami i oknami, żeby dostać się na tę nową, urodzajną planetę.

W ciągu pierwszych trzystu lat, ludzie rozprzestrzeniali się po całej powierzchni globu, ale etap pogranicza uległ zakończeniu i ziemia obiecana ustabilizowała się, przyjęła prawo, obrosła w naukę i sztukę.

Jedna po drugiej, pograniczne farmy ustąpiły miejsca przedsiębiorstwom zmechanizowanej produkcji żywności, obsługiwanym przez zespoły wyszkolonych techników i zarządzanym przez profesjonalnych menedżerów.

Kellonia weszła w wiek cywilizacji przemysłowej, zaś duży właściciel indywidualny stał się wymierającym gatunkiem.

W niezauważalny sposób i bez specjalnych protestów, wolność pogranicza zaczęła znikać, aż w końcu została utracona. Jedno po drugim, prawa którymi cieszyli się oryginalni osadnicy, zaczęły być uważane za przywileje. Jeden po drugim, przywileje zaczęły być ograniczane, limitowane poprzez licencje, eliminowane jako nie pasujące, a nawet niebezpieczne dla nowej kellońiańskiej cywilizacji.

Krok po kroku, duża grupa stała się podmiotem prawa i kultury, zaś jednostka zwykłym zerem.

Członkowie wchodzący w skład tych grup – nawet sami członkowie rządzącej rady – znaleźli się w sytuacji, w której mogli podejmować co najwyżej pomniejsze decyzje. Każdy ruch dyktowany był przez precedensy. A precedensy zmieniły się w twardą jak beton tradycję.

Prawdę mówiąc, pomyślał sobie Stan, cywilizacja ta wyglądała obecnie na totalnie samo-kontrolującą się – i samo-podtrzymującą. Ludzie stali się zwykłymi komórkami, które dostosowywały się – albo były eliminowane.

Ponownie uniósł książkę, przerzucając swobodnie jej strony. Szczegóły były tu nieistotne. Miał tu do czynienia, jak sobie uświadomił z narastającym poczuciem frustracji, tylko z pewnym mętnym wzorcem, bez widocznych żadnych znaczących szczegółów.

Obudził się trochę oszołomiony, rozejrzał wokół siebie po celi, a potem wyskoczył pośpiesznie z pryczy. Zazwyczaj budził się przed sygnałem dzwonka.

Pete Karzer wrócił właśnie z umywalni. Popatrzył na niego.

— Już wstałeś, Graham? — powiedział przyciszonym głosem. — Hej, wiesz, że dzisiaj rano wychodzę. Pewnie będziesz chciał z powrotem wymienić się kocami, co?

— Chyba masz rację. Po co oddawać dobry koc, co nie?

— To by nie miało sensu.

Pete pomasował sobie tył szyi.

— Nigdy nie mogłem pojąć tej wymiany — stwierdził. — Nie zrozum mnie źle, to było naprawdę fajnie, móc spać sobie w cieple, ale przecież naprawdę mnie załatwiłeś, kiedy próbowałem zwędzić ci ten twój koc. Nigdy nie widziałem kogoś, kto by się tak szybko poruszał. A ja nie jestem aż taki głupi, by nie wiedzieć, kiedy ktoś mnie załatwił.

Uśmiechnął się żałośnie.

— A więc, budzę się na podłodze jakby mi ktoś przywalił pałą. A ty wtedy dajesz mi dobry koc, za to parszywe barachło, które miałem. Czemu?

Stan wzruszył ramionami.

— Mówiłem ci — odparł. — Tam skąd pochodzę, jest znacznie zimniej niż tutaj, tak więc nie potrzebowałem tego koca. Zaproponowałbym ci wymianę już wcześniej, ale nie chciałem wyjść na jakiegoś lizusa i wazeliniarza.

— Z tą wymianą, to ma mowy o żadnej wazelinie — Pete uśmiechnął się i ponownie potarł się po karku. — Szybko przekonałem się, kto tu jest szefem. Gdzie się tego nauczyłeś?

— Och, podłapałem trochę – to tu, to tam. — Stan spuścił wzrok na podłogę.

Bezcelowe byłoby opowiadać im o intensywnym szkoleniu, przez jakie przeszedł w szkole. Takie szkolenie nie miałoby sensu dla jego kolegów z celi. Dla dobrych obywateli Kellonii, wyglądałoby to na coś straszliwie nielegalnego. Uniósł z powrotem wzrok.

— Wiesz, jak to jest — mówił dalej. — Człowiek uczy się, kiedy tylko nadarza się okazja.

Wielki Carl Marlo przerzucił nogi przez brzeg swojej pryczy.

— Wygląda na to, że ty nauczyłeś się naprawdę dobrze — zauważył. Zmierzył wzrokiem Stana. — Pete mówił mi o tym waszym interesie, kumasz. Jakoś wtedy przegapiłem całą akcję, ale opowiadał mi jak zabrał ci koc, i był przygotowany, żeby ci porządnie przyłożyć, gdybyś próbował sprawiać kłopoty. Tylko, że ty od razu go dopadłeś. Poczuł tylko parę szybkich, a potem już nic nie czuł, aż do następnego dnia, kumasz. Potrafiłbyś zrobić coś takiego w każdej chwili?

Stan wzruszył ramionami.

— Człowiek nigdy nie wie co może zrobić, dopóki nie spróbuje. Znam jeszcze parę innych sztuczek, jeśli o to ci chodzi.

Marlo skinął głową.

— Taaa. Wiesz co, mały? Nie ma sensu żebyś marnował tutaj czas, jeśli nie jesteś nianką dla fabrykatorów, kumasz. Ty już masz niezłą profesję, wiesz o czym mówię?

Stan popatrzył na niego pytająco.

— Pewnie. — Marlo skinął głową. — A więc, pojawiłeś się tutaj, może jako turysta. Ale dopadli cię joes i wsadzili cię tutaj. Zaczęli uczyć cię fachu – opieki nad fabrykatorami. Tyle, że oni nie wiedzieli, że ciebie wcale nie trzeba niczego uczyć, ponieważ masz już o wiele lepszy fach w ręku. Wszystko, co musisz zrobić, to znaleźć sposób na wydostanie się stąd.

— Naprawdę? Czy ty myślisz poważnie, że…

— Pewnie. Posłuchaj, tu wszędzie jest sporo ważniaków ze starych dobrych czasów. Te stare szychy potrzebują dobrych chłopaków, potrafiących trzymać z dala od nich różnych łobuzów. Płacą też naprawdę dobrze, i nic ich nie obchodzi, że siedziałeś w mamrze. Może nawet to i lepiej, kumasz. Wchodzisz w układ z jednym z tych starych gości i sprawa załatwiona. I wszystko zgodne z prawem. Powinieneś przyjrzeć się temu, kiedy stąd wyjdziesz.

Stan uśmiechnął się.

— Pierwszego dnia, jak tylko znalazłem się na tej planecie, przetrzepali mi bagaże, kiedy rozglądałem się po miasteczku. Znaleźli nóż do papieru i parę podręczników.

Wzruszył ramionami.

— No i, kiedy wróciłem do hotelu, ktoś wygarnął do mnie z błyskacza. Obudziłem się dopiero w celi.

Rozejrzał się dookoła.

— Ktoś mi w końcu powiedział, że dali mi dwa do pięciu lat, za posiadanie niebezpiecznej broni i literatury wywrotowej. A teraz powiedzcie mi, ile bym dostał, gdybym po wyjściu stąd naprawdę uszkodził jakiegoś gościa?

Marlo lekceważąco machnął ręką.

— To zależy, dla kogo byś pracował — oznajmił. — Gdybyś miał odpowiedniego szefa, to dostałbyś nagrodę. Im bardziej facet uszkodzony, tym większa forsa, kumasz?

Stan sięgnął po swoją torbę z przyborami toaletowymi.

— I to jest zgodne z prawem?

— No pewnie. — Mario uśmiechnął się uspokajająco. — Tego rodzaju rzeczy dzieją się nieustannie. Nawet wielkie firmy potrzebują mięśniaków. Brygadziści, kumasz? Ich zadaniem jest utrzymywanie poziomu produkcji. Mnóstwo ludzi dostaje w ten sposób naprawdę porządną robotę. Na początku zostają Specjalistami Pomocy Pracownikom, którzy w razie potrzeby mają przegonić bandziorów. Potem, dosyć szybko porastają w piórka, kierując tymi sprawami. To naprawdę niezły interes.

Wzruszył ramionami.

— Nawet w moim biznesie raz na jakiś czas potrzeba jakiegoś twardziela. Na przykład jeśli człowiek uwije sobie dobre gniazdko, to nie chce, żeby tłumy jakichś bandziorów rabowały w jego sąsiedztwie. Kumasz, to mogłoby przyciągnąć uwagę prawa, a trudno dobrze pracować, kiedy w okolicy kręci się pełno joes. Mogliby nawet postanowić przeszukać mu metę i czym by się to dla niego skończyło?

Rozłożył szeroko ręce.

— Albo w okolicy pojawi się jakiś młody wilczek. A może to być całkiem twardy chłopak, tak że nie jesteś w stanie załatwić tej sprawy osobiście. A więc, jedynym rozwiązaniem jest znalezienie jakiegoś dobrego, solidnego faceta, który nauczy tę małpę odrobiny etyki. Mnóstwo brygadzistów zdobyło w ten sposób ekstra punkty.

— Chyba już łapię ideę. Ale przypuśćmy, że prawo zainteresuje się taką umową?

Marlo rozłożył ręce.

— No cóż, to jest sprawa cywilna, a przynajmniej tak długo, dopóki ten małpiszon nie kopnie w kalendarz. A więc, jeśli zajdzie taka potrzeba, zabiera się do roboty twój pełnomocnik. On rozmawia z decydentami i joes w ogóle się tobą nie interesują. To tylko troszeczkę kosztuje, i wszystko.

Pete uniósł głowę znad swego pakunku, z wykrzywioną uśmiechem twarzą.

— Jedynym problemem, jest to, że któryś z tych wielkich chłopców, może za bardzo polubić swoją robotę. To może naprawdę być bardzo

kłopotliwe, ja na przykład zarobiłem w ten sposób te swoje pięć do dziesięciu.

— Widzisz, ten kretyn dostał trochę zbyt dużo. Tak więc, kiedy nadszedł ranek, ciągle leżał na ulicy. Trudno było nawet wykręcić się na warunek. Pamiętasz, że jestem tutaj już od pięciu lat? Teraz więc zastanawiam się skąd wziąć nowego mięśniaka.

— Brzmi interesująco — skinął głową z namysłem Stan.

— Wielki Kosmosie i malutkie Mgławice — powiedział sobie w duchu. — Co to za planeta? Nigdy jeszcze o czymś takim nie słyszałem.

Podszedł do umywalki.

— Pewnego dnia — obiecał sobie, — jakoś się stąd wyrwę. Zacznę koczować w Kwaterze Głównej Straży. I tak długo będę wiercił dziury w brzuchu tym grubym rybom, aż w końcu coś z tym zrobią.

Istniała, jak sobie przypominał, pewna organizacja, która powinna być w stanie zrobić znacznie więcej, niż trochę, w takich jak ten przypadkach. Uśmiechnął się w duchu z żalem, na myśl o niemal legendarnych opowieściach, jakie słyszał o Specjalnym Korpusie Śledczym Federacji.

Jednak, o ile sobie przypominał te opowieści, funkcjonariusze korpusu wydawali się pojawiać zupełnie znikąd, kiedy trzeba było stawić czoła poważnym problemom. Nie było wiadomo, aby ktoś ich wzywał. Nikt nawet nie miał pojęcia, jak się z nimi skontaktować. Wzruszył ramionami.

Funkcjonariuszy Korpusu Specjalnego, jak pamiętał, uważano za kogoś w rodzaju nadludzi.

Przez większą część życia, marzył o pracy z nimi, ale nie potrafił znaleźć żadnego sposobu, choćby na zgłoszenie chęci uczestnictwa w ich doborowej grupie. A więc zdecydował się na następną pozycję z kolejki. Zgłosił się do Gwiezdnej Straży. I utrzymał się w niej tylko przez nieco ponad trzy lata.

Jakoś musiał stamtąd zostać odesłany. Ciągle nie do końca rozumiał, jak to się stało, że wylądował we więzieniu na planecie Kella. Przecież to miał być zwykły przystanek w podróży.

Nie było żadnej rozprawy. Ewidentnie, przeszukali jego bagaże w hotelu, ale nie było żadnej z nim dyskusji. Po prostu został postrzelony z promiennika i stracił przytomność.

Kiedy znalazł się w Opertal, ktoś mu powiedział o długości otrzymanego wyroku i przydzielili go do więziennego warsztatu maszynowego, aby nauczył się użytecznego zajęcia i obowiązków obywatela Kellonii.

Uśmiechnął się kwaśno. Uczyli go mechaniki. Oraz wprowadzili go w szczegóły swojej cywilizacji. Fach było w porządku. A cywilizacja…?

Jego pamięć ześlizgnęła się w przeszłość, przed czasy więzienia – przed lata spędzone w Kendall Hall.

Znowu miał dziesięć lat.

Był to słoneczny dzień w parku, i Billy Darfield gadał bez końca:

— Taaa — mówił chłopak, — tata opowiadał mi o tym, jak spotkał jednego z nich. Oni wyglądają zupełnie tak samo jak wszyscy inni. Tylko kiedy coś pójdzie źle, natychmiast tam są. I kiedy ci coś powiedzą, musisz to zrobić.

Zamknął oczy z rozmarzeniem.

— O, Jezu — stwierdził szczęśliwym tonem, — jak bardzo chciałbym móc też tak robić! Czy nie byłoby fajnie kazać staremu Winantowi, żeby sobie gdzieś poszedł i się utopił?

Stan uśmiechnął się niedowierzająco.

— E tam, ja też słyszałem wiele o tych z Korpusu Specjalnego. Po prostu mają dużą władzę, to wszystko. Mogą wezwać całą Straż Gwiezdną, jeśli będą tego potrzebowali. Kto by się wymądrzał przy kimś, kto może zrobić coś takiego?

Billy pokręcił zdecydowanie głową.

— Tata powiedział mi o nich wszystko, a on wie. Kiedyś widział jednego z nich, jak strącił z tronu króla. I nikt mu przy tym nie pomagał. Oni mają wszystko co im jest potrzebne, tak sami z siebie. Muszą tylko powiedzieć ludziom i to wystarczy.

Raptownie Stan wrócił do chwili bieżącej. Woda przelała mu się przez dłonie.

— Szkoda, że ja sam nie potrafię robić tego rodzaju rzeczy — pomyślał. — Chętnie powiedziałbym paru ludziom, żeby sobie poszli i się utopili.

Uśmiechnął się z żalem.

— Jest tylko jeden problem. Nie potrafię tego. A poza tym, pewnie to w większości plotki.

Jakieś ziarenko prawdy musiało jednak w tych opowieściach o Korpusie Specjalnym tkwić, był tego pewien. Informacje na ten temat nigdy nie przedostały się do oficjalnego obiegu, ale były pewne wydarzenia w historii, wiedza o których wydawała się jakaś niekompletna. Musiał być z nimi związany ktoś, o znacznie większej niż zwykła zdolności do wprawiania rzeczy w ruch, ale ktokolwiek by to nie był, nigdy się o nim nie wspominało.

Wzruszył ramionami i odwrócił się tyłem do umywalki.

— Mam nadzieję, że dzwonek wkrótce zadzwoni — powiedział do siebie. — Trzeba iść coś wrzucić na ruszt i do roboty, inaczej naprawdę tu zwariuję.

Prezentujący cofnął się od jednego z wielkich rozpylaczy Lamberta-Howella. Kiedy mężczyzna zaczął wyjaśniać działanie układu zasilania, inny z więźniów stanął prosto przed Grahamem.

Stan pokręcił niecierpliwie głową i odsunął się na bok. I znów ten człowiek znalazł się tuż przed nim, zasłaniając mu widok. Stan ponownie się przesunął.

Kiedy mężczyzna po raz trzeci zasłonił mu widok, Stan dotknął jego ramienia.

— Hej, stary — powiedział łagodnie, — może byś tak stanął przez chwilę w jednym miejscu. Reszta z nas również chciałaby coś zobaczyć.

Jego rozmówca zamarł na kilka sekund. Potem obrócił się na pięcie, pokazując groźnie zmarszczoną twarz.

— Nie będziesz mnie tu popychać, ty mały szczurze? Trzymaj te brudne łapska przy sobie, rozumiesz!

Odwrócił się z powrotem, a następnie zrobił nagły, mocny krok do tyłu.

Stan odsunął stopę w bok i pięta tamtego z hukiem uderzyła w metalową podłogę. Przez krótką chwilę, Stan mierzył gościa uważnym spojrzeniem, ale potem pokręcił głową.

— Masz zachować spokój, pamiętasz? — powiedział sobie w duchu. Odszedł z tego miejsca, przechodząc na drugi kraniec grupy, po przeciwnej stronie fabrykatora.

Teraz już sobie przypominał tego człowieka. Val Vernay pracował już nad fabrykatorami, kiedy Stan przyszedł do warsztatu.

Jakoś nigdy nie udało mu się napisać zadowalającego programu, ale kręcił się przy wszystkich pokazach, nie będąc w stanie zrozumieć wyjaśnień – obrażając się na tych, którzy okazywali nieco większe zdolności.

Vernay kątem oka spoglądał za przesuwającym się Stanem, a potem sam przepchnął się przez innych, aż w końcu ponownie znalazł się przed niższym mężczyzną. Stan westchnął zrezygnowany.

I znów ciężka noga uderzyła do tyłu. Tym razem pokusa okazała się zbyt duża. Stan zwinnie zatoczył końcem stopy niewielki łuk, zawadzając o kostkę Vernaya i wytrącając go z równowagi.

Stan szybko się stamtąd odsunął, jeszcze mocniej pociągając kostkę przeciwnika i unikając jego wymachujących rąk.

Przez moment Vernay próbował przeskoczyć stopą, i balansując rękoma odzyskać równowagę. Po chwili jednak padł z hukiem na podłogę, waląc gwałtownie głową o jej kamienne płyty.

Stan z konsternacją popatrzył na leżącego człowieka. Chciał tylko, aby facet nieco głupio wyglądał.

— Mam nadzieję, że ma twardą głowę — powiedział sobie.

Pilnujący warsztatu strażnik podbiegł ostrożnie.

— Co to wszystko ma znaczyć?

— Naprawdę nie wiem, proszę pana — Stanowi udało się przybrać lekko zaskoczoną minę. — Zauważyłem tylko, że wymachuje rękoma na wszystkie strony. Potem upadł na podłogę. Może ma atak padaczki, co?

— Taaa. — Głos strażnika zabrzmiał sardonicznie. — Taaa, może ma atak padaczki. No dobra, przynajmniej na trochę nie będzie z nim kłopotów.

Uniósł głos.

— Hej, ty, przy zestawie pierwszej pomocy. Dawaj nosze.

Kiedy Stan wszedł do celi, Wielki Carl Marlo leżał na pryczy,. Uniósł wzrok z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Hej, mały, zacząłeś od samej góry, co?

— O co ci chodzi?

— O tego Vernaya, a o co innego? Tak jak powiedziałem, zacząłeś od samej góry. Nie myślałem, że tak szybko załapiesz, kiedy mówiłem ci o tych mięśniakach. Pewnie już wcześniej sobie to obmyśliłeś?

Marlo z podziwem pokręcił głową.

— Doskonała robota, tak. Rozegrałeś to na chłodno, posłałeś tego łacha na podłogę, i proszę bardzo. Tylko, że złapałeś naprawdę wielką rybę. Myślisz, że dasz mu radę następnym razem?

Stan zamrugał powiekami.

— Posłuchaj — poprosił, — przekaż mi trochę więcej danych, dobrze? I rób to naprawdę powoli. Jestem zupełnie w lesie.

— Co? O co ci… Och, już łapię.

Marlo zmarszczył brwi.

— Tylko mi nie mów, że nie wiesz o tym Vernayu. Nie wciskaj, że nie wymyśliłeś sobie, jak wylądować ze wspaniałą robotą dla Janzel Equipment. Przecież mnie znasz – to ja, Wielki Carl. Ja nie chlapię ozorem na wszystkie strony, dobrze o tym wiesz.

Popatrzył na minę kompletnego niezrozumienia, która pojawiła się na twarzy Stana.

— Poza tym, chyba nie ma ani jednego człowieka w tych murach, który by nie myślał o czymś takim. Człowieku, nawet sobie nie wyobrażasz, ilu gości obserwowało tego Vernaya.

Stan przeszedł przez celę i usiadł na swojej pryczy.

— Posłuchaj — powtórzył cierpliwie, — przyjmijmy po prostu, że jestem jakimś głupim dzieciakiem spoza planety. Może nie do końca chwytam te wszystkie sprawy. A więc, o co tu chodzi?

Marlo wzruszył ramionami.

— No dobrze, ale jak na kogoś, kto nie wie co robi, całkiem nieźle sobie radzisz. W każdym razie, sprawa wygląda tak. Widzisz, ten gościu, Vernay, jest jednym z twardych ludzi Janzela. Prawdziwy twardziel. Pilnował tych ich biednych kretynów, po całej firmie. Nie znał się za bardzo na interesie, ale kiedy mówili mu, że jakiś szmaciarz się nie wyrabia, to Vernay szedł do niego, zawiązywał gościa w supeł wokół jego maszyny i mówił mu, że powinien pracować trochę szybciej. Rozumiesz o co mi chodzi?

Stan zmarszczył z niesmakiem brwi, a Marlo uniósł do góry dłoń.

— Och, to jest absolutnie w porządku — wyjaśnił. — Właśnie za to mu płacili. Ale on zaczął za bardzo lubić swoją robotę, wiesz co chciałem powiedzieć? A więc, jakiś czas temu, wziął na cel pewnego robotnika obsługującego maszynę. Siedział temu biedakowi na głowie przez cały czas. No cóż, niańka fabryki uciął to, zgłaszając tę sprawę, a joes nie przyjęli tego zbyt dobrze.

Wzruszył ramionami.

— Oczywiście, Janzel próbował zdusić sprawę w zarodku, ale się nie udało. Joes nacisnęli guzik, i tak Vernay dostał za swoje.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Udało im się przygwoździć go czymś w rodzaju zabójstwa, ale pracodawcy Vernaya zdołali zareagować na czas, pociągnęli za sznurki i wsadzili go tutaj. Może to nie wypoczynek w sanatorium, ale też nie żaden dom wariatów, tak jak to jest w pewnych miejscach.

Oczy zaszły mu mgłą wspomnień.

— Uuuf, jak sobie przypomnę niektóre z tych nor…

Machnął ręką.

— Tak więc, w każdym razie, jak widzisz, Vernay ma mnóstwo mięśni, ale kiepskie zasoby jeśli chodzi o szare komórki. Może myśleli sobie, że coś z tego, czego będą go tu uczyli, przebije mu się przez czaszkę, ale to również nie za bardzo się udało. Myślę, że Janzel zaczyna dochodzić do wniosku, że trzeba będzie poszukać innego ślicznego chłopca, ale gdyby go tak od razu porzucili, za bardzo straciliby twarz.

— No i wtedy pojawiasz się ty, i ot, tak sobie, rozwalasz łeb temu łachudrze, tylko dlatego, że zasłaniał ci światło, kumasz?

Powoli pokręcił głową.

— Tyle, że to niczego nie rozwiązuje. Za parę dni on wyjdzie ze szpitala i naprawdę cię nie będzie lubił. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Taaa.

Stan przyjrzał się paznokciom u dłoni.

— Taaa — powtórzył. — Dałeś to do zrozumienia jasno i wyraźnie.

Wstał i ruszył do umywalki.

— Zastanów się, co robisz — zanucił. — Chyba będę musiał dać mu darmową lekcję bezpiecznych upadków. Nie spodoba mu się to za bardzo, ale przynajmniej będzie miał okazję sporo poćwiczyć.

Vernay potrzebował więcej niż paru dni, na to aby wyjść ze szpitala. W miarę jak mijał czas, Stan, coraz wyraźniej wyczuwał badawcze spojrzenia, którymi obrzucali go zarówno więźniowie, jak i strażnicy.

Stał przyglądając się, jak inżynier grzebie we wnętrznościach Lamberta-Howella. Wokół niego było dużo wolnego miejsca – pełny metr z każdej strony. Należało to traktować, jak sobie uświadomił, jako wyróżnienie – symboliczny wyraz uznania dla kogoś, kto ośmielił się znokautować człowieka takiego jak Vernay. Był to również gest ostrożności. Nikt nie śmiał zasłaniać widoku komuś kto powalił groźnego zabijakę jednym, delikatnym ruchem. No i również, nikt nie śmiał przebywać zbyt blisko niego, kiedy Vernay w każdej chwili mógł się pojawić z powrotem.

Jakim człowiekiem był Vernay, zastanawiał się Stan. Oczywiście, dobrze sobie zapamiętał postać wysokiego blondyna. Bez trudu był w stanie wyobrazić sobie te bezczelne, wyglądające na senne, oczka – swobodne ruchy ciężkich łapsk. Również wiele słyszał o czynach tego człowieka.

Ale to wszystko można było różnie interpretować. Czy tamten był rzeczywiście aż tak niezdarny i niekompetentny, na jakiego wyglądał? Czy był prostym, głupowatym osiłkiem, który polegał wyłącznie na czystej sile i brutalności? Albo może jednak był sprytnym zabijaką, który tylko popełnił błąd, wynikający z lekceważenia i nieostrożności?

— No dobrze — opowiadał mechanik, — właśnie w ten sposób montujecie górne uzwojenia. Zapamiętajcie sobie, że każde z nich ma swój własny kąt pola, który musi zostać ustawiony z dokładnością do jednej dziesiątej stopnia. W przeciwnym razie, nie uda wam się uzyskać odpowiedniego skupienia i wasz rozpylacz spowoduje prawdziwy bałagan.

Powiódł wzrokiem po całej grupie.

— Kiedy będziecie dostrajać te elementy, skorzystajcie z instrukcji — dodał. — Nie polegajcie tylko na swojej pamięci. W ten sposób moglibyście się władować na naprawdę paskudne miny.

Popatrzył z namysłem na zestaw uzwojeń.

— I kiedy tył jest zdjęty, nie próbujcie w pobliżu tych urządzeń używać żadnych gravito-klamr. One tego nie lubią. To może spowodować paskudne skutki.

Przekręcił do góry nadgarstek, spoglądając na zegarek.

— No dobrze, to wszystko. Idźcie coś zjeść.

Zatrzasnął pokrywę i zeskoczył z pomostu.

Stan odwrócił się. Dzisiejszego wieczora nie ma żadnych narzędzi do oddania. Nie potrzebował ich przez całe popołudnie. Uśmiechnął się. I nie musiał też dzisiaj maszerować w całej kolumnie. Był to cotygodniowy wolny wieczór.

Wyszedł z warsztatu, podążając w pewnej odległości za grupą więźniów, zmierzając w stronę bramy na główny dziedziniec. Druga mała grupka szła z tyłu, utrzymując wyraźny odstęp.

Ktoś wciągnął głęboki oddech.

— Hej, patrzcie! Tam!

Stan podążył wzrokiem w kierunku wskazywanym przez kilkanaście mocno wykręconych głów. W cieniu bramy czekał, wygodnie oparty, Vernay. Uśmiechnął się krwiożerczo i ruszył w stronę Stana. Grupa więźniów rozpłynęła się na wszystkie strony, formując nierówne półkole. Skądś pojawili się także inni.

— No dobrze, mały szczurze — miękko powiedział Vernay. — Miałeś w czasie paru ostatnich dni trochę zabawy, nie? Wielki człowiek, największy na całym dziedzińcu, co? Taaa. No cóż, teraz to już koniec.

Rozmasował prawą dłoń kciukiem i palcami lewej, a następnie rozłożył ręce, naciągając palce.

— Nasz mały, cwany człowieczek — dodał. — Poznał parę małych brudnych sztuczek. Czy masz coś do powiedzenia, zanim rozwalę ci łeb na kawałki?

Stan stanął przed nim, na lekko ugiętych kolanach, rozstawiając stopy w odległości kilku cali. Złożył ręce na piersi, nie przeplatając ich ciasno.

— Posłuchaj, Vernay — oznajmił. — Nie szukam awantury, ale jeśli mnie zmusisz do walki, połamię ci wszystkie kości, jedną po drugiej.

Poprzednim razem nie chciałem rozwalić ci łba, ale tym razem zrobię to celowo, jeśli będę musiał. Może po prostu zapomnimy o wszystkim?

Vernay przez moment wyglądał na zdeprymowanego, ale po chwili otrząsnął się i roześmiał się pogardliwie.

— Próbujesz się wymknąć i ciągle wyglądać na dobrego? Nie, nie. Koniec twoich przechwałek. A teraz, trochę zatańczymy.

Zrobił krok naprzód.

— No dalej, mój mały, po prostu na mnie poczekaj. Zdmuchnę ci ten twój łeb z ramion.

Podszedł bliżej, a potem wyciągnął rękę z rozwartą dłonią.

Stan popatrzył na tę dłoń z niedowierzaniem. Nikt nie mógł być aż tak nieostrożny. Przez chwilę niemal miał ochotę wywinąć się ze spodziewanej pułapki. Potem jednak zdecydował, że ten człowiek znajduje się w niewłaściwej pozycji do zadania ciosu. Po prostu próbował go tylko złapać ręką, co nie mogło wyrządzić mu najmniejszej szkody.

Jego prawa dłoń strzeliła do góry, chwytając wyciągnięte łapsko zanim go dosięgło. Szarpnął je w dół, domykając chwyt lewą ręką, popchnął do góry i zrobił szybki krok do przodu.

Z okrzykiem zaskoczenia i bólu, Vernay obrócił się dookoła i pochylił w stronę ziemi. Stan wykonał cały ten ruch z niespodziewaną dynamiką, która zmusiła wielkiego mężczyznę niemalże do przyciśnięcia twarzy do kamieni dziedzińca. Vernay raptownie wykręcił się i szarpnął, próbując się wyrwać. Rozległ się rozdzierający trzask i wielki mężczyzna wrzasnął piskliwie, a następnie upadł bezwładnie na bruk.

Stan z zaskoczeniem popatrzył na leżącego przed nim przeciwnika. Za łatwo poszło, pomyślał sobie. Coś tu musiało być nie tak. Trzymana w uchwycie dłoń wykrzywiła się i zwiotczała. Puścił ją i cofnął się o krok.

Przez kilka sekund Vernay leżał spokojnie, a potem zmusił się do gwałtownego wysiłku. Zaczął się podnosić, próbując stanąć na nogach, zaś jego lewa ręka szukała czegoś za pasem. Stan pochwycił błysk wypolerowanej stali. Obszedł szybko mężczyznę łukiem, nabierając równowagi.

To nie miało sensu, pomyślał. Musi zakończyć to w decydujący sposób. Uniósł obie dłonie na wysokość ramion, a po chwili machnął nimi jak toporem, równocześnie robiąc krok do przodu, dokładnie wtedy, kiedy stopy Vernaya znalazły się pod nim.

Impet uderzenia poderwał Vernaya do postawy stojącej. Kiedy mężczyzna stał, kołysząc się, Stan ponownie machnął rękoma.

Plecy Vernaya wygięły się do tyłu i przez chwilę stał sztywno wyprostowany. Potem potykając się ruszył do przodu, aby oprzeć się o kamienną ścianę.

Przez chwilę stał zaparty o ścianę, w jego lewej ręce opartej nad głową o kamienie, błyszczało ostrze skalpela. Potem jednak dłoń rozluźniła się, a srebrzysta stal szczęknęła na nawierzchni dziedzińca. Powoli mężczyzna ześlizgnął się po ścianie, zamieniając się w bezkształtny stos, leżący w odpływie wody spod rynny.

Stan westchnął, następnie pokręcił głową i otarł przedramieniem pot z oczu.

Dookoła rozległo się zgodne westchnienie.
— No dalej, mały — ktoś wymruczał. — Przywal mu z buta. Ten parszywiec próbował użyć noża.
Stan odwrócił się.
— Nie ma sensu — oznajmił ze zmęczeniem. — Mam tylko nadzieję, że on ciągle żyje.
— Nie łapię tego — powiedział ktoś. — On chce, żeby ten facet żył?
Ktoś inny zaśmiał się krótko.
— Może lubi, żeby nie było za łatwo. Hej, uważajcie! Joes.
Tłum rozpłynął się błyskawicznie, znikając w tym tajemniczym miejscu, z którego się pojawił, zaś do Stana ostrożnie podszedł jeden ze strażników.
— Posłuchaj mnie, Graham — powiedział dyplomatycznie. — Będę musiał wrzucić cię na dołek. Zdajesz sobie z tego sprawę, co?
Stan apatycznie skinął głową.
— Taaa — odparł. — Chyba tak.
— Posłuchaj, stary, to nie potrwa zbyt długo. To on cię zaatakował, a więc wypuszczą cię stamtąd naprawdę szybko.
Głos strażnika brzmiał niemal przepraszająco.
— Poza tym, pewnie zaoferują ci pracę dla Janzel. W ogóle cię stąd zwolnią. Tylko nie sprawiaj mi kłopotów. Jedyne co byś osiągnął, to zrobiłbyś z nas obu widowisko.
— Taaa, wiem. — Stan wyciągnął rękę. — No dobrze, chodźmy.

Stan przyglądał się jak kierujący testem inżynier, macha ręką.
— Dwieście dwadzieścia grawów — oznajmił tamten. — Pełne wychylenie na obu osiach. O to chodziło. Poluzujcie naciągi.
Przejrzał dokładniej wskazania na znajdującej się przed nim tablicy mierników, a potem wstał ze stołka i przeciągnął się.
— Żadnych oznak naprężeń. Wygląda na to, że wszystkie komponenty są dobre.
Odwrócił się, spoglądając po operatorach testowych.
— Posprzątajcie całe to miejsce.
Uczucie dezorientacji, wywołane przez promienie ściągające, coraz bardziej słabło. Stan podniósł się na nogi i popatrzył na swego towarzysza. Dachmann skinął w jego stronę głową.
— No cóż — powiedział powoli, — Golzerowi właśnie się udało wyjść z narożnika. Jego działania zostaną zaaprobowane. No dobra, wracamy do roboty.
Poprowadził ich tunelem wyjściowym z blokhauzu.
Koło wejścia zatrzymał się samochód. Przez tylne okno wyjrzała ciężka, kwadratowa twarz i machnęła na nich wielka ręka.
— Dachmann, Graham. Tutaj.
— Och, och — westchnął Dachmann. — Oto kłopot. Wizow stąd się nie ruszy, dopóki czegoś nam nie wlepi.

Potężny kierownik produkcji spoglądał na nich zimno, kiedy zmierzali w stronę jego samochodu.

— Byłoby znacznie lepiej — warknął, — gdybyście zajrzeli do mojego biura, zanim zaczęliście się szwendać po całym terenie.

Popatrzył na Stana.

— Mam dla ciebie problem do rozwiązania. Może uda ci się coś z tym zrobić.

Wyciągnął kilka kartek papieru.

— Mamy opóźnienie na linii produkcji komponentów.

Dziabnął palcem wskazującym, w jedną z kartek.

— Jedź tam i popchnij sprawy do przodu. — Popatrzył następnie na Dachmanna. — Dla ciebie mam inny przypadek.

Stan wziął papiery i zaczął je przeglądać. Po chwili uniósł wzrok. Nie było specjalnych wątpliwości co do tego, gdzie znajdowało się wąskie gardło. Wszystkie braki materiałowe, po prześledzeniu w tył, prowadziły do jednej maszyny. Zmarszczył brwi.

— Czy ekipy konserwacyjne sprawdziły już tę maszynę? — spytał.

Wizow wzruszył obojętnie ramionami.

— To ty jesteś brygadzistą — stwierdził lodowatym tonem. — Chyba dostatecznie długo jesteś już u nas na warunkowym, żeby wiedzieć, co robić. W każdym bądź razie, ja nie mam zamiaru ci tego tłumaczyć. Po prostu jedź tam, gdzie jest problem, i go załatw. Mnie interesuje tylko właściwy poziom produkcji. Sprawy merytoryczne pozostawiam odpowiednim specjalistom.

Zwrócił się do jego towarzysza.

— Wsiadaj, Dachmann. Dla ciebie mam prawdziwy ból głowy.

Stan ponownie przestudiował pokryte tabelami kartki. Winna całej sprawie maszyna znajdowała się w budynku dziewięć, trzydzieści dwa. Numer czterdzieści jeden.

Udał się na parking i wsiadł do skoczka, którego kupił za swoją pierwszą wypłatę. Dotknął przycisku rozrusznika i maszyna z pomrukiem obudziła się do życia. Uniósł ją kilka cali nad ziemię, następnie wykręcił i poszybował ponad polem w kierunku bloku dziewiątego.

Fabrykator numer czterdzieści jeden był zwielokrotniony. Pojedyncza głowica programowalna, wprawiała w ruch osiem zestawów rotacyjnych, które mogły niemalże ciągłym strumieniem dostarczać do podajników skompletowane moduły podzespołów. Obecnie stał on bezczynnie.

Stan podchodząc do fabrykatora usiłował wyobrazić sobie w głowie schemat przebiegu przetwarzania maszyny. Po chwili jednak przerwał. Operator siedział przy dziurkarce programującej, uważnie pracując nad długim kawałkiem taśmy. Stan zmarszczył brwi i spojrzał na zegarek. Do tej pory taśmy powinny być już gotowe, a maszyna działać z pełną mocą. Ale ten człowiek ewidentnie ciągle jeszcze zajmował się jej konfiguracją.

Stanął i przyglądał się jak operator pieczołowicie porównuje taśmę, z leżącym przed nim wydrukiem wzorcowym. W jego ostrych,

wychudzonych rysach twarzy, było coś znajomego. Mężczyzna odwrócił się, by przyjrzeć się dokładniej wydrukowi, i Stan skinął głową.

— Już sobie go przypominam — powiedział sam do siebie. — Sornal. Tak się zastanawiałem, co się z nim dzieje. Nie widziałem go już, od tego pierwszego dnia w Opertal.

Sornal dotarł do końca taśmy, a następnie zaczął macać po stole, w poszukiwaniu jej początku. Postanowił powtórnie sprawdzić ją z wydrukiem. Stan pokręcił z irytacją głową.

— Ile razy ma zamiar to sprawdzać? — spytał się w duchu. Podszedł do mężczyzny.

— Masz jakieś kłopoty?

Sornal uniósł wzrok i skulił się tak, by jak najbardziej się od niego odsunąć.

— Zaraz to wszystko uruchomię — wyjęczał. — Naprawdę! Chciałem się tylko upewnić, że wszystko jest w porządku.

— Przecież już sprawdziłeś swoją taśmę. Przyglądałem ci się.

Sornal wykręcił głowę i popatrzył w bok.

— Taaa, ale to jest takie skomplikowane. Jeśli któryś z tych elementów wyjdzie poza granice tolerancji, może zniszczyć cały statek. One muszą być dobre.

— No to może krótka seria próbna? Wtedy będziesz mógł przeprowadzić testy na rzeczywistych elementach.

— To bardzo skomplikowane urządzenia. Nie można sprawdzić ich wewnętrznej tolerancji, bez przebadania ich w warunkach obciążenia roboczego. One muszą od początku być dobre.

Stan pokręcił ze zmęczeniem głową.

— Posłuchaj. Wstań na chwilę. Ja uruchomię próbny przebieg twojej taśmy, a potem pobierzemy elementy do badania i dokładnie je sprawdzimy. Masz pomocnika?

— Gdzieś się kręci w pobliżu.

Sornal podniósł się ze swojego fotela i stał ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Stan wziął taśmę i usiadł na jego miejscu.

— W porządku, a więc idź go poszukać. Sprowadź go tu, a ja w tym czasie wyprodukuję elementy do badania. Możemy poczekać z rozmową, aż skończę.

Taśma była doskonała, bez żadnej łaty, ani poprawki. Stan w końcu uniósł znad niej wzrok, warcząc do siebie w myślach:

— Przynajmniej wiadomo, że ten facet jest kompetentnym programistą. A więc, co się z nim dzieje?

Pstryknął przełącznikiem zasilania, przestawiając go z pozycji „Czuwanie” na „Włączone”, a następnie poczekał by wszystkie wskaźniki ustawiły się na właściwych pozycjach roboczych. Delikatnie zaczął kręcić dwoma pokrętłami mikrostrojenia, aż ich wskazówki znalazły się na

wyznaczonych czerwonych liniach. Wtedy otworzył pokrywę głowicy sterującej fabrykatora, wsunął w nią taśmę i nacisnął dźwignię startu.

Taśma, z miarowymi kliknięciami, zaczęła przechodzić przez głowicę. Stan nieustannie wodził wzrokiem, sprawdzając mierniki.

Taśma przeszła przez głowicę i wysunęła się z niej, wpadając do pojemnika wyjściowego. Po chwili miękko zajęczała hydraulika i ramię podajnika ustawiło niewielki bloczek na stole testowym. Stan wziął go do ręki, obracając we wszystkie strony, aby mu się dokładnie przyjrzeć.

Był to zwykły, prostopadłościenny bloczek z czarnego materiału, o rozmiarach mniej więcej zapalniczki do papierosów. Na pięciu ściankach widać było splątane wzory srebrzystych punkcików końcówek połączeniowych. Szóstą pokrywał numer identyfikacyjny. Stan doskonale wiedział, że w środku wbudowany jest skomplikowany zestaw obwodów, zatopionych w materiale izolacyjnym. Malutkie metalowe kropeczki, tworzyły krytyczne punkty węzłowe, połączone niesłychanie delikatnymi natryskiwanymi włókienkami przewodzącymi. Rozejrzał się dookoła.

Sornal obserwował go z niepokojem. Spoglądał na malutki bloczek podzespołu, tak jak był on żywy i gryzł.

— Masz — powiedział do niego Stan. — Włóż to do urządzenia testowego i uruchom je.

Sornal uważnie umieścił bloczek w otworze, a następnie wyciągnął rękę do przełącznika. Wydawało się, że przez chwilę dłoń zamarła mu na przełączniku, a potem obejrzał się do tyłu na Stana i nacisnął go z głośnym trzaskiem. Wskazówki uniosły się ponad pozycję zero, zawahały się i ustabilizowały.

Wydawało się, że Sornal nabrał nieco zaufania do siebie. Poruszył pokrętłem, zapisał odczyty z kilku mierników, a następnie pokręcił inną gałką. W końcu uniósł głowę i rozejrzał się wokół siebie.

— Wygląda w porządku — przyznał niechętnie. — Tylko…

— Wygląda w porządku, kropka. — Stan zwrócił się do pomocnika. — — Uruchamiaj maszynę — polecił mu. — I nie spuszczaj z oczu tych mierników. Doprowadźmy ten rozruch porządnie do końca.

Kiwnął zachęcająco głową.

— Chodź, stary. Postawię ci kubek herbaty.

Sornal cofnął się.

— Ty chyba nie chcesz mnie… Słuchaj, czy myśmy już się gdzieś nie spotkali? Wiesz, jak po prostu…

— Powiedziałem tylko, że postawię ci kubek herbaty. Potem trochę pogadamy, i to wszystko. Nic innego nie miałem na myśli.

— Ja właśnie wyszedłem… Posłuchaj, ja już nie jestem w stanie tego dłużej znieść, rozumiesz?

— Spokojnie. Dzisiaj nie będzie żadnych gierek. No, chodźmy.

Jednak kiedy Sornal zaczął już mówić, potok jego słów był niemal nie do zatrzymania.

Przybył na Kellonię niemal cztery lata temu, na standardowy roczny kontrakt. Przez niemal dwadzieścia lat podróżował to tu, to tam, pracując w stoczniach kosmicznych po całej galaktyce. Zatrudniał się na kontraktach krótkoterminowych, odkładając dochody w banku, na swej

rodzinnej planecie. I planował w końcu powrócić na ojczystą ziemię, na planetę Thorwald, skorzystać z całkiem pokaźnych oszczędności, żeby kupić jakiś niewielki interes i osiąść w jednym miejscu, na czymś w rodzaju na wpół emerytury.

Ale oferta wysoce atrakcyjnych stawek skusiła go do przylotu na Kellonię, na ostatni kontrakt u Janzela.

— Sprowadzili tutaj także moje papiery — opowiadał, — tylko, że nie mogłem już ich dostać z powrotem. — Pokręcił ze zmęczeniem głową i mówił dalej.

Wszystko szło gładko przez pierwszą połowę czasu kontraktu. Otrzymywał niesamowicie wysokie czeki i deponował je w banku. A po przemyśleniu całej sprawy, zasygnalizował, że byłby zainteresowany przedłużeniem umowy.

— I wtedy właśnie, przygwoździli mnie — wyjaśnił. — To była tylko jedna nieprawidłowa partia, ale właśnie ona jakoś prześlizgnęła się przez inspekcję i poszła w diabły dopiero w trakcie prób.

— Wybuch?

Sornal uśmiechnął się kwaśno.

— Chcesz wiedzieć jak silny był wybuch? Pochłonął nawet jeden z pomocniczych ciągników. Prawdziwy bajzel. Och, nie myśl tylko, że nie wściekli się z tego powodu!

— Mówiłeś, że to była tylko jedna nieprawidłowa partia. Potem wszystko zaczęło znowu iść normalnie?

— Taaa. Ja wtedy przeprowadziłem kontrolę, rozumiesz? Badania próbki kontrolnej były doskonałe. Idealne. I wtedy na chwilę siadło zasilanie. Koło stanowiska zaczęła działać ekipa naprawcza. Znaleźli problem i naprawili go, tuż przed przerwą na lunch. Ruszyłem dalej z robotą i dokończyłem swoją partię. To było tylko dziesięć zestawów żyroskopowych – układ do systemu sterowania.

— Nie wiem… myślę, że nie były właściwie wyważone. Może metal trzonków nie wytrzymał. W każdym razie skończyłem tę partię i poszedłem na żarcie. Wróciłem i uruchomiłem produkcję nowej partii.

Wpatrywał się w trzymany w ręku kubek.

— Kiedy nadszedł mniej więcej czas wyjścia z pracy, przyszli po mnie. Posłuchaj, nie mogę nawet o tym myśleć! Od tego czasu wiele razy zdarzało mi się dostać lanie, ale w porównaniu z tamtym, to całkiem miłe wspomnienia. Co goście naprawdę lubili swoją robotę!

Sornal wzdrygnął się i odstawił swój kubek. W końcu westchnął i zaczął opowiadać dalej.

Wyszedł ze szpitala, mrucząc pod nosem ponure groźby podjęcia kroków prawnych. Natychmiast pokuśtykał do Siedziby Federacji, żeby złożyć skargę.

— Nie udało mi się tam dotrzeć. Następną rzeczą, którą pamiętam, to pobyt w jakiejś celi.

Popatrzył na Stana.

— Teraz już sobie przypominam, gdzie cię widziałem. Jedziemy na tym samym wózku, ty też wyszedłeś z więzienia.

— Taaa — przytaknął Stan, spoglądając w swój pusty kubek.

— Powiedz mi jedną rzecz — powiedział powoli. — Kiedy ta ekipa naprawcza pracowała koło twojej maszyny, czy nie używali grawitoklamry!

— Klamry? Taaa… taaa, chyba mogło tak być. Korzystają z nich bardzo często, kiedy muszą zająć się czymś ciężkim, a ci goście zazwyczaj mają mnóstwo rzeczy do przesunięcia.

— Rozumiem. Tak się zastanawiam, czy głowica jej pola nie była skierowana w stronę twojej maszyny?

— Nie wydaje mi się… Nie wiem, nie przypatrywałem im się zbyt dokładnie.

Sornal spojrzał ostro na Stana.

— Chcesz powiedzieć, że oni mogli…

— No cóż, a co innego mogłoby spowodować chwilowy błąd montażu?

— Taaa! — Sornal powoli pokiwał głową. — Zabawne, nie pomyślałem o tym.

— W każdym bądź razie, wylądowałeś w Opertal?

— Taaa. Wsadzili mnie za unikanie spłaty zobowiązań. Powiedzieli mi, że jestem winien firmie mnóstwo pieniędzy z powodu zniszczeń spowodowanych eksplozją. Twierdzili, że próbowałem uciec. We więzieniu, nawet nie chcieli mnie wpuścić do warsztatu maszynowego. Kazali mi przeciągać jakieś rzeczy dla ekip terenowych. Potem zwolnili mnie na warunkowe, przydzielając z powrotem tutaj. Wróciłem znowu do maszyn, tyle że już nie jestem pracownikiem kontraktowym. Zostałem młodszym mechanikiem. Och, pewnie to i tak lepiej niż być pomocnikiem, tyle tylko że nie płacą za dużo.

Sornal odsunął się od stołu.

— Teraz już będę naprawdę ostrożny przy pracy — powiedział. — Przygwoździli mnie na całkiem długo, ale pewnego dnia wyrok się zakończy. Wyjdę z warunkowego i spłacę swoje zobowiązania, a potem się stąd wynoszę. Nie uda im się wrobić mnie w coś nowego.

— Jest tylko jeden problem — wyjaśnił mu Stan. — Stałeś się tak ostrożny, że sam im się wystawiasz.

— Co?

— Taaa. Przygwożdżą cię za bumelanctwo, jeśli nie będziesz uważał.

Stan podniósł się na nogi.

— Powiem ci, co masz zrobić. Rób wszystko tak jak wtedy, kiedy byłeś pracownikiem kontraktowym. Tylko jedna sprawa – jeśli w pobliżu pojawi się jakaś ekipa remontowa, pobierz próbkę do badań po ich odejściu. I sprawdź ją porządnie. Wiesz przecież jak sprawdzać odchylenia magnetyczne i grawityczne. Zrób to, a potem idź dalej z rozpoczętą partią. A teraz wracaj już do swojej maszyny. Mam parę rzeczy do zrobienia.

Wyszedł z bufetu, przyglądając się przez chwilę Sornalowi, który ponownie zajął się produkcją podzespołów, a po chwili obrócił się na pięcie i poszedł do działu osobowego.

— Chciałbym zobaczyć teczkę człowieka o nazwisku Sornal — powiedział urzędnikowi.

Mężczyzna zawahał się.

— Nie wolno nam przekazywać całej teczki, Mogę wyszukać dla pana tylko jakąś konkretną informację.

Stan zmarszczył groźnie brwi.

— Proszę ze mną nie dyskutować. Chcę zobaczyć teczkę tego człowieka. Potrzebuję jego kompletnej historii. A teraz proszę mi ją przynieść.

Urzędnik zaczął wygłaszać słowa sprzeciwu, ale potem odwrócił się i poszedł do archiwum. Po pewnym czasie wrócił z teczką.

Stan wziął ją i otworzył na ladzie.

— W porządku, niech pan zostanie tu, kiedy będę ją przeglądał. Zwrócę ją panu za parę minut.

Przyjrzał zapisane informacje, zwracając szczególnie uwagę na jedną z nich:

— O, kurczę! — powiedział do siebie w myślach. — Jedenaście tysięcy, sześćset dziewięćdziesiąt dwa interstellary. Jedynym sposobem w jaki mógłby to spłacić, to zrobienie wielkiej wyrwy w zgromadzonych oszczędnościach.

Przerzucił papier na drugą stronę, zapamiętując szczegóły zakresu roszczeń.

Kiedy przejrzał dane na temat płac, pokiwał głową. Wszystko pięknie się zgadzało. Zdobędą wiele lat pracy tego człowieka, za środki zapewniające mu wyłącznie przeżycie.

— Bardzo ładnie — wymruczał pod nosem.

Zamknął teczkę o wręczył ją z powrotem urzędnikowi.

— W porządku, to wszystko co było mi potrzebne.

Rzucił okiem na zegar na ścianie.

— Chyba odmelduję się na lunch.

Wyszedł z biura. Ten proceder, pomyślał sobie, może zostać przerwany tylko przez dochodzenie Straży. Sornal odzyska wolność, a w całym systemie mogą powstać poważne zniszczenia.

— Tylko miło byłoby jeszcze — wymruczał Stan — gdybym zdołał wymyślić coś dla siebie samego.

Sierżant Straży był doświadczonym weteranem – i człowiekiem metodycznym. Wysłuchał wszystko cierpliwie, a potem sięgnął ręką pod blat biurka. Przez kilka sekund jego dłoń była niewidoczna, po chwili wyciągnął pióro.

— A teraz, po kolei. Powiedział pan, że jak pan się nazywa?

— Graham. Stanley Graham. Ja…

Sierżant wyciągnął sobie formularz. Pochylił się nad nim, powoli kaligrafując.

— Graham, Stanley. No dobrze. A teraz, gdzie pan mieszka?

Krok po kroku, przechodził przez gąszcz pustych kratek, nalegając, by w danej chwili podawać mu wyłącznie informacje wymagane do realizacji punktu, nad którym właśnie pracował. W końcu, odłożył pióro i wyprostował się w fotelu.

— No dobrze, a teraz, przejdźmy do tego drugiego człowieka, o którym pan wspomniał.

Mężczyzna wyciągnął inny formularz.

Stan zaczął odczuwać lekkie zniecierpliwienie. Odpowiedział na pytania odnośnie Sornala, udało mu się dostarczyć odpowiednie informacje do większości pustych kratek na formularzu sierżanta.

Mężczyzna wyciągnął jeszcze inny formularz.

— No dobrze, a teraz, na czym dokładnie polega skarga?

Stan przekazał mu historię Sornala, cytując liczby i daty wyczytane z teczki personalnej. Sierżant słuchał wszystkiego beznamiętnie, często przerywając mu i prosząc o powtórzenie.

W końcu uniósł wzrok znad formularza.

— Czy ma pan jakieś dokumenty, na poparcie całej tej historii?

Stan zakaszlał z niecierpliwością.

— Nie, oczywiście, że nie. Nie mogę przecież wyciągnąć jego teczki osobowej z działu personalnego i tak sobie jej tutaj przynieść. Ale ona jest w archiwum. Ja tylko przejrzałem bieżące akta, a przecież o tym człowieku są też poufne dane, które mogłoby naprawdę wiele wyjaśnić.

Sierżant uśmiechnął się kwaśno.

— Może, tak by się też i stało. Wydaje mi się jednak, że trudno oczekiwać, aby to oni ją dla nas wyciągnęli i wręczyli nam jej zawartość.

Obrócił się z fotelem do wiszącej za biurkiem półki, i sięgnął po książkę.

— Proszę. — Położył książkę na rogu biurka. — Oto są przepisy, dotyczące dokładnie tego rodzaju sytuacji.

Wskazał odpowiednie słowa, jedno po drugim.

Był to długi paragraf, najeżony skomplikowaną terminologią. Zabraniał on pozyskiwania informacji w sposób, który nie byłby precyzyjnie dozwolony przez miejscowe prawo. Sierżant przeszedł przez cały jego tekst, dokładnie akcentując znaczenie każdego słowa.

W końcu jego palec odsunął się od strony.

— To, o czym pan mówił, są to poufne rejestry. Na tej planecie prawo chroni rejestry korporacyjne w najszerszym możliwym zakresie. Musielibyśmy mieć dowody potwierdzające, że inkryminowane dokumenty w ogóle istnieją. Musielibyśmy określić ich lokalizację i zawartość w dosyć wąskich granicach. Potem, musielibyśmy udać się przed miejscowego śledczego i zażądać możliwości przebadania tych dokumentów.

Zamknął z trzaskiem książkę.

— A gdyby nie udało nam się odnaleźć tego dokumentu, albo nie byłby on właściwie obciążający, urażona korporacja mogłaby walnąć nas żądaniem sowitego wynagrodzenia szkód.

Popatrzył zimno na Stana.

— Jeśli pan sobie tego życzy, mogę wyciągnąć także miejscowy akt prawny, oraz pokazać panu również i w nim odpowiednie paragrafy.

Zrobił chwilę przerwy, krótką i niezbyt zachęcającą.

— Z drugiej strony, jesteśmy zobowiązani do ochrony interesów obywateli galaktyki.

Popatrzył ostro na identyfikator na kieszeni Stana, a następnie wyciągnął bloczek papieru.

— Proszę. Może pan usiądzie tam przy stole, i odręcznie napisze swoją skargę. Przekażę ją dalej.

Stan przez chwilę spoglądał na bloczek.

— No… Przypuśćmy, że byłbym w stanie uzyskać kopie dokumentów w tej sprawie. Jak pan myśli, czy wtedy mógłby pan coś z tym zrobić?

— Gdyby mógł pan dostarczyć dokumentację dowodową, to załatwiałoby sprawę; oczywiście, podjęlibyśmy odpowiednie działania. Przecież po to tutaj jesteśmy.

Sierżant niewzruszenie popukał palcem w bloczek.

— Czy chce pan sporządzić pisemne oświadczenie?

— Zostawmy to — odparł mu ze zmęczeniem Stan. — Nie mam zamiaru dłużej tracić czasu.

Kiedy odwracał się do wyjścia, wydawało mu się, że na twarzy kłaniającego mu się na pożegnanie sierżanta, dostrzegł leciutki błysk rozczarowania

Kiedy zmierzał z powrotem do budynku działu personalnego, ledwie zauważał, co się wokół niego dzieje.

Spowodowane to było przede wszystkim otępiającym go oburzeniem – wszechogarniającą wściekłością – której nie był w stanie skupić na niczym konkretnym, ale która szukała ujścia we wszystkich możliwych kierunkach jednocześnie.

Problem polegał, pomyślał, na formalnym trybie załatwiania tego rodzaju spraw. Tak naprawdę nie liczyło się, mówił sobie w duchu, czy cokolwiek faktycznie zostało zrobione, czy nie – dopóki wszystko biegło ustalonym, zaaprobowanym trybem postępowania.

Tyle tylko, że źli ludzie używali bezpośrednich, efektywnych metod.

Jego gniew nadal miał charakter nieukierunkowany, po prostu pęczniał i rozszerzał się we wszystkie strony na raz. Miał zbyt wiele celów, tak że zmienił się on raczej w dręczącą presję, niż dynamiczną siłę napędową.

Wspomniał krótką chwilę wybuchu swojej aktywności, a potem chrząknął, czując się głupio i śmiesznie. Ruszył konceptem, że mógłby tak po prostu zabrać teczkę osobową Sornala, wynieść ją i rzucić sierżantowi przed twarz. A nawet przez jedno, krótkie mgnienie oka pomyślał o tym, jako o czymś prostym.

— Może — stwierdził kwaśno w myśli — któryś z tych agentów z Korpusu Specjalnego, byłby w stanie coś takiego zrobić. Ale jakoś nie widzę tutaj żadnego z nich, próbującego zająć się tą sprawą.

Rozejrzał się wokół siebie, zaskoczony. Jakimś cudem minął bramę, pokazał swój identyfikator, zaparkował skoczka oraz wszedł do wnętrza budynku – i kompletnie nie pamiętał jak to wszystko robił.

— No dobrze — postawił sobie pytanie — co teraz powinienem począć? Stać się po prostu żyjącą rzeczą?

Wszedł do sekretariatu i siedząca w nim urzędniczka uniosła na niego wzrok.

— Och, pan Graham. Szef chce pana widzieć.

Nacisnęła przycisk, otwierając bramkę.

— Zna pan drogę.

— Tak, znam. Ciekawe czego ode mnie chce.

Kobieta pokręciła przecząco głową i wróciła do swojej pracy.

— Nic nie mówił. Prosił tylko, żeby pan się z nim zobaczył, kiedy pan przyjdzie.

Stan pokonał krótki korytarzyk i stanął przed drzwiami. W rogu kryształowej szyby, równe, małe literki głosiły: H. R. Mauson.

Zapukał w szybę.

— Proszę wejść.

Kiedy drzwi stanęły otworem, szef działu Personalnego uniósł głowę.

— Och, Stanley. Siadaj.

Stan usiadł w wyściełanym fotelu i oparł się wygodnie. Był to jeden z tych miękkich, głębokich foteli, zapraszających wręcz do odpoczynku.

Urzędnik dotknął przycisku i sam również odchylił się do tyłu.

— Powiedz mi, Stanley — oznajmił łagodnym tonem, — co robiłeś w Gmachu Federacji, parę minut temu?

Stan próbował unieść rękę w geście lekceważenia, lecz wydawało mu się, jakby przykleiła się ona do fotela. Użył większej siły, a potem usiłował przekręcić się. Ale jego ręce i nogi nawet na milimetr nie chciały się oderwać od obicia fotela. Mauson uśmiechnął się.

— To tylko niewielki środek ostrożności, Stanley. Jednostka grawito, rozumiesz. Być może to niepotrzebne, ale masz reputację człowieka… określmy to tak, kompetentnego w pewnych dziedzinach. Chociaż u nas nigdy nie zademonstrowałeś swoich możliwości. Nie wiedzę powodu, aby podejmować głupie ryzyko.

Uśmiech zniknął mu z twarzy.

— A teraz oczekuję, że opowiesz mi wszystko o swojej wizycie w Gmachu Federacji.

Stan zmusił się do odprężenia. Trzeba być ostrożnym, pomyślał sobie. Wykrzywił twarz w wymuszonym uśmiechu.

— Powodem był lunch — oświadczył beztrosko. — Wie pan przecież, że Sala Międzygwiezdna ma reputację znaną w całym Talburgu.

Roześmiał się swobodnie.

— To prawda, że trochę się stęskniłem za domem. Zachciało mi się nagle dobrze przyrządzonego delsau. To rodzaj konserwy, która u nas w domu, jest naprawdę przysmakiem.

— Proszę, proszę. — Mauson zamknął oczy. — Spróbuj jeszcze raz. Powinieneś być w stanie wymyślić coś znacznie lepszego.

Postukał palcem w jakieś notatki.

— Zostało ci przydzielone zadanie naprostowania jednego z ludzi, Sornala, czyż nie?

— Tak. Byłem u niego i załatwiłem sprawę. — Stan stwierdził, że ma na tyle dużo swobody, by móc poruszyć ręką. — On tylko cierpiał na…

Mauson zakaszlał sucho.

— Mam też raport i na ten temat. Napoiłeś go herbatką, chwilę z nim pogadałeś, a później sobie poszedłeś.

Ponownie popukał palcem w notatki.

— A zaraz potem przyjechałeś tutaj i zacząłeś domagać się akt personalnych tego człowieka. Przeczytałeś jego teczkę i popędziłeś prosto do Gmachu Federacji. Posłuchaj, ja nie jestem kompletnym kretynem. Nie próbuj mi wmawiać, że zachciało ci się tylko jakiegoś egzotycznego jedzenia.

Nacisnął na przełącznik.

— Wizow, mógłbyś tu wpaść na chwileczkę?

Po paru minutach w drzwiach pojawiła się potężna postać kierownika produkcji.

— Tak, Mauson?

Zobaczył Stana.

— Och, a więc sprowadziłeś go tutaj?

— Tak. Przyszedł sam, z własnej woli. Ale teraz próbuje troszeczkę kręcić. Mam nadzieję, że z nim porozmawiasz.

— Z przyjemnością.

Wizow zrobił kilka kroków do przodu, stając naprzeciw fotela Stana. Uderzał pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki, wykręcając nadgarstek przy każdym uderzeniu. Po raz pierwszy, odkąd Stan go poznał, na jego twarzy pojawił się lekki uśmieszek.

— Nie lubię cię, Graham — oznajmił. — Nie spodobałeś mi się już za pierwszym razem, kiedy cię zobaczyłem, i kompletnie nic nie zrobiłeś, aby zatrzeć to pierwsze wrażenie. Wydawało mi się zawsze, że w tobie jest coś zabawnego; chodzi mi o ten sposób w jaki rozpieszczałeś robotników. Wyglądało to tak, jakbyś usiłował się ścigać w jakimś cholernym plebiscycie popularności.

Ponownie uderzył pięścią w dłoń drugiej ręki.

— Ponadto te twoje komentarze. Sprytne gadki – zawsze wyprowadzały z równowagi niewłaściwych ludzi, takich jak inni brygadziści.

Uśmieszek zrobił się trochę krzywy.

— Wiesz, nie przysporzyło ci to tutaj specjalnej renomy. Nie wśród ludzi, którzy się liczą. Były na ciebie skargi. Dobry brygadzista nie działa tak jak ty. Po prostu pilnuje, żeby jego ludzie pracowali. Oni nie muszą go lubić – po prostu mają zajmować się pracą, nawet kiedy nie ma go koło nich. Wiedzą co się stanie, kiedy sobie poluzują. No i dobry brygadzista pozostawia myślenie tym, którym za to płacą. Postępuje zgodnie z ustalonymi procedurami.

Nachylił się nisko nad Stanem, marszcząc brwi.

— Kim ty jesteś? Jakąś federacyjną wtyczką?

Nagle jego prawa dłoń błyskawicznie strzeliła, uderzając w policzek Stana. Ciężki palec przeorał mu oko, powodując raptowne łzawienie. Dłoń cofnęła się, nabierając rozpędu do solidniejszego uderzenia.

Głowa Stana szarpnęła się do tyłu, odbijając się od oparcia fotela i lecąc z powrotem do przodu.

Przepełniająca go rozmyta wściekłość skondensowała się i wybuchła nowym płomieniem. Miała już jeden, określony cel. Skupiła się na nim. Popatrzył gorejącym wzrokiem na potężnego mężczyznę.

— Te łapska! — rzucił ostro. — Trzymaj je przy sobie! A teraz, jazda tam do kąta. Poruszysz się dopiero, kiedy ci powiem!

Przez moment Wizow stał nieruchomo. Zmarszczone brwi wygładziły się, pozostawiając mu na twarzy pustkę.

Próbował ponownie unieść rękę do ciosu, ale po chwili wyrwał mu się lekki szloch bezradnego gniewu, i zaczął iść, opornie, powoli, krok po kroku, aż w końcu zaklinował się w narożniku pomieszczenia.

— Teraz dobrze — pochwalił go Stan. — Stój tam i czekaj. I bądź cicho.

Zwrócił się do Mausona.

— Ty. Wyłącz tę jednostkę grawito. Potem siedź nieruchomo.

Poderwał się z fotela, kiedy tylko przytrzymująca go siła zniknęła.

— Teraz — warknął — możesz to włączyć z powrotem. Daj też nieco większą moc, jeśli już się tym zajmujesz.

Obrócił się na pięcie.

— No dobra — rozkazał ostro Wizowowi — Odwróć się. Siadaj w tym fotelu.

Patrzył jak wielkie ciało mężczyzny, zostało wciśnięte w poduszki fotela. Na twarzy Wozowa pojawił się wysiłek. Stan obszedł dookoła biurko Mausona.

— Powiedziałem, nieco większą moc. — wyciągnął rękę i gwałtownie podkręcił gałkę sterowania jednostką grawito.

Wizowowi opadły wargi, a w oczach pojawił się wyraz męki. Stan uśmiechnął się z napięciem i zmniejszył ustawienie pokrętła.

— Powinienem to podkręcić, aż do pełnego obciążenia — oznajmił. — Interesujące byłoby zobaczyć, jak tego rodzaju urządzenie działałoby na tobie. Ale tylko zostawię to, tak jak teraz. A ty masz siedzieć cicho. Jesteś głuchy, głupi i ślepy, rozumiesz?

Zwrócił się do Mausona.

— A teraz, co do ciebie… — Głos zamarł mu w ustach.

Mężczyzna siedział jak marionetka, której odcięto sznurki sterujące. Płomień furii Stana, zaczął się wypalać.

Ich umysły, uświadomił sobie nagle, zostały kompletnie sparaliżowane. Nie potrzebował nawet sznura, żeby ich powiązać. Wystarczyło tylko, że kiwnąłby palcem, a oni zaczęliby skakać. Pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Zabawne — powiedział sam do siebie. — Wystarczyło po prostu okazać nieco stanowczości. Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

Popatrzył oceniająco na Maulsona.

— Powiem ci, co teraz zrobimy — powiedział rytmicznie. — Każesz tu sprowadzić swój samochód. Wiesz, ten z osłoną energetyczną. Przecież nie chcemy, żeby ktoś nam przyłożył z błyskacza.

Jego głos stwardniał.

— No, dalej — polecił, — łap się za komunikator. Powiedz im, że potrzebny ci ten samochód.

Kiedy samochód ruszył ulicą, nachylił się lekko do przodu.

— No dobrze, panie kierowco — powiedział rozkazującym tonem, — kiedy dojedziemy do Gmachu Federacji, proszę skręcić na oficjalny podjazd.

Kierowca leciutko skinął głową. Stan usiadł wygodniej i czekał.

Przyglądał się uciekającym do tyłu frontom budynków. Kiedy znalazł się tu po raz pierwszy, dostrzegł czyste piękno miasta. Nie potrafił jednak zrozumieć stanu pewnego nieokreślonego niepokoju, jaki czuł. Ale teraz… widział to co jest ukryte pod powierzchnią.

Samochód zwolnił. Strażnik zatrzymał ich gestem, koło wejścia do budynku. Stan dotknął przycisku otwierającego okno.

— Niech pan się odsunie, Strażniku — polecił. — Wjeżdżamy do środka.

Ponownie nacisnął przycisk, tym razem zamykając okno.

— Panie kierowco, proszę jechać dalej — wydał kolejne polecenie. — W środku, wypuści nas pan z samochodu. Proszę potem znaleźć miejsce do zaparkowania i zaczekać.

Kiedy samochód zatrzymał się, podszedł do nich kolejny strażnik.

— Hej! — zaprotestował. — To jest…

Stan popatrzył na niego lodowato.

— Którędy do biura komendanta Straży?

Mężczyzna wskazał ręką.

— Tamta winda. Piąte piętro. Ale…

— Nie prosiłem pana o żadne komentarze. Proszę pokazać kierowcy miejsce do zaparkowania i dopilnować, żeby tam się zatrzymał.

Stan zwrócił się do Mausona.

— No dobrze, wychodź z samochodu.

Zapędził go do windy, a potem, na górze, kazał mu z niej wysiąść. W holu rozejrzał się dokoła, a następnie wszedł we właściwe drzwi.

Funkcjonariusz Straży w średnim wieku, spojrzał na niego pytająco.

— Czy mogę w czymś pomóc, panowie?

— Tak. Chcielibyśmy zobaczyć się z komendantem.

Strażnik lekko się uśmiechnął.

— No cóż, panowie, proszę posłuchać…

Stan popatrzył na niego surowo.

— Zaliczyłem już dzisiaj swoją porcję chodzenia po gabinetach. Powiedziałem, że chcemy zobaczyć się z komendantem. A teraz prosiłbym uprzejmie, żeby pan nas do niego zaprowadził. No, dalej!

Uśmiech zniknął. Przez moment, wydawało się że mężczyzna się zbuntuje. Potem jednak odwrócił się.

— Tędy, proszę — powiedział spokojnie. Przeprowadził ich przez duże pomieszczenie, a potem zapukał do drzwi, po jego przeciwległej stronie.

— Tak?

Głos wydał się Stanowi jakoś mgliście znajomy. Zmarszczył brwi, próbując go rozpoznać.

— Dwóch ludzi chce się z panem zobaczyć, panie komendancie. Zdaje się, że trochę im się śpieszy.

— Tak? No dobrze, wpuść ich.

Stan odprężył się. Teraz chyba pójdzie już z górki, pomyślał. Powinien być w stanie skłonić tych ludzi do postawienia Mausona przed śledczym. Jego zeznania powinny dostarczyć wystarczających dowodów do pełnego przeszukania Kartoteki Osobowej Janzela.

Kiwnął głową na Mausona.

— Do środka.

Poczekał aż tamten przejdzie przez drzwi, a potem podążył za nim.

Za szerokim biurkiem stał smukły człowiek.

— No cóż — spokojnie oznajmił. — Witaj w domu, Graham. Cieszę się, że udało ci się tego dokonać.

— Major Michaels! — Stanowi wyleciało z głowy wszystko, co miał zamiar powiedzieć.

Jego rozmówca uśmiechnął się.

— Powiedzmy raczej, Agent Michaels — poprawił. — Funkcjonariusze Korpusu Specjalnego, nie mają żadnej rzeczywistej rangi w Straży. Większość z nas została wyrzucona z Akademii na pierwszych paru latach studiów.

Popatrzył na Strażnika, a potem wskazał palcem na Mausona.

— DeSilva, niech pan zabierze go na dół i wsadzi gdzieś do czasu, aż będzie nam potrzebny. Graham i ja mamy trochę do pomówienia.

— Tak jest.

Mężczyzna w średnim wieku zwrócił się do Stana.

— Gratuluję, proszę pana.

Skinął ręką na Mausona.

— No dalej, idziemy. Marsz.

Widząc, że Stan otwiera usta, Michaels uniósł rękę.

— Nie ma potrzeby — przerwał mu spokojnie. — DeSilva bez trudu da sobie z nim radę. Gdyby musiał, poradziłby sobie nawet z trzema, czy czterema takimi jak on. To naprawdę niezły człowiek.

Sięgnął po pudełko na biurku.

— Proszę — powiedział. — Zapal sobie. Mamy parę rzeczy do omówienia.

— Ale ja muszę…

— To może poczekać. Wall nagrał całą historię na taśmie, kiedy rozmawiałeś z nim w biurze na dole. Trzymaliśmy za ciebie kciuki.

— Trzymaliście kciuki? Przecież praktycznie musiałem siłą wymusić, żeby dostać się tu na górę.

— Zgadza się. — Michaels wyjął papierosa z pudełka, zaczął wsadzać go do ust, ale wyjął go i wskazał nim na Stana. — To normalna procedura. Przypuszczam, że słyszałeś o Specjalnym Korpusie Śledczym?

— Tak. Ale…

— Czy myślałeś może kiedyś, aby zostać jego funkcjonariuszem?

— Oczywiście. Przecież wie pan o tym – rozmawialiśmy na ten temat. Nigdy jednak nie udało mi się…

— Zgadza się — Michaels machnął papierosem. — Nie mamy biur rekrutacyjnych. Wszyscy nasi ludzie muszą wedrzeć się do niego siłą. Powiedz mi, czy wiesz coś o historii tej planety?

Stan zacisnął zęby. Jakoś stracił inicjatywę w tej rozmowie. Wziął głęboki oddech.

— Proszę posłuchać — oznajmił stanowczo. — Ja…

— Później. — Michaels pokręcił głową. — A więc, zaznajomiłeś się już z zasadami funkcjonowania tej cywilizacji?

— No cóż… tak. Czytałem trochę na temat jej historii… co nieco o obowiązującym prawie.

— To dobrze. Oszczędzi mi to mnóstwo gadaniny. Wiesz, czasami napotykamy na sytuację, którą można poprawić jednym, zręcznym uderzeniem. Zmienić bieg spraw na bardzo udany. Wysyłamy wówczas agenta – albo dwóch, czy nawet sześciu. Niezbędne rzeczy zostają wykonane, i ktoś pisze miły, sympatyczny raport.

Bawił się trzymaną w ręku zapalniczką.

— Ale tutaj mamy do czynienia z czymś zupełnie odmiennym. Przed nami długa, monotonna robota, rutynowych działań agenturalnych. Musimy rozbić mocno zaskorupiały system, przy tym tak, by nie zranić zbyt wielu ludzi znajdujących się w środku. I zajmujemy się tym już od pewnego czasu. Wydaje nam się, że poczyniliśmy pewne postępy, ale ciągle jeszcze mamy wiele do zrobienia.

— Jednak nawet najgorsze sytuacje mają swoje dobre strony. To miejsce przynajmniej jest dobrym poligonem szkoleniowym dla kandydatów.

— Kandydatów?

— Zgadza się. Kandydatów, którzy nawet nie zdają sobie sprawy z tego, że są testowani.

Uśmiechnął się.

— Ludzi posiadających kwalifikacje na Starszych Agentów, trudno jest znaleźć. Zdolności większości z nich są utajone – są uśpieni. Nie możemy się spodziewać, że oni sami do nas przyjdą – to my musimy ich odnaleźć. A wtedy musimy ich obudzić. To może być dosyć skomplikowane.

Przypalił swojego papierosa, przyglądając się Stanowi z namysłem.

— Pewnie słyszałeś te wszystkie historie, które krążą na temat Korpusu. Prawda jest taka, że Starszy Agent nie jest żadnym supermanem. Jest zwykłym, normalnym człowiekiem, z kilkoma dodatkowymi dziwactwami.

Wyciągnął do góry palec.

— Po pierwsze, lubi pakować się w kłopoty. Paskudne sytuacje przyciągają go, jak płomień przyciąga ćmę. Takich ludzi jest dużo. Większość z nich zawsze w końcu dostaje po uszach. Agenci, zazwyczaj nie.

Uniósł drugi palec.

— Ponieważ posiadają oni pewne zdolności kompensacyjne. Kiedy znajdują się pod presją, ludzie zaczynają robić dokładnie to, co oni im każą – a przynajmniej większość ludzi.

Westchnął.

— To są zdolności uśpione. Czasami umiejętność pełnej kontroli jest zagrzebana tak głęboko, że do przebudzenia człowieka i uświadomienia mu faktu, że potrafi jej użyć, potrzebne jest coś w rodzaju totalnej katastrofy.

Uśmiechnął się cierpko.

— Och, od czasu do czasu potrafi porozstawiać ludzi po kątach – zaczynają się czuć niepewnie w jego towarzystwie – co czyni go mało popularnym. Ale nie ma pełnej kontroli. Musi zostać przebudzony.

— Tak, ale…

— Acha. To brzmi prosto, ale nie jest.

Michaels pokręcił głową.

— Nie wystarczy po prostu pstryknąć mu palcami przed nosem. Trzeba wpakować go w prawdziwe kłopoty. Zwalić na niego całą ich górę – aż w końcu zacznie odczuwać tak silną presję, że da mu ona kopniaka do działania. Dlatego takie miejsce jak to, jest bardzo użyteczne.

— Zaczynam rozumieć. Chce pan powiedzieć, że to wszystko, przez co musiałem przejść, było czymś w rodzaju cholernego budzika?

— Tak. Można by to w ten sposób określić. To i próbny przydział jako młodszy agent. Nadal chcesz wstąpić do Korpusu Specjalnego?

Stan rozejrzał się po biurze z namysłem, a potem wstał.

— Wszedłem w to, nie wiedząc nawet o co chodzi. Chwilami, miałem z tym nawet trochę zabawy. Może polubię to bardziej, kiedy będę już wiedział, co robię.

Wzruszył ramionami.

— I co dalej?

Michaels podsunął mu stos papierów.

— Szczegóły administracyjne. Nie da się ich uniknąć.

Wyciągnął z biurka pióro.

— Kiedy już podpiszesz te wszystkie papierki, ściągnę tu paru ludzi, na świadków, byśmy mogli przyjąć twoją przysięgę. To praktycznie nie boli.

KONIEC